

ŚWIADOMIE ZAPLANOWANA EPIDEMIA

**TESS
GERRITSEN**

Infekcja



Rozdział pierwszy

Skalpel to piękna rzecz.

Doktor Stanley Mackie nigdy dotąd nie zwrócił na to uwagi, ale stojąc teraz z pochyloną głową pod lampami sali operacyjnej, nagle stwierdził, że brylantowe refleksy światła na ostrzu wprost go zadziwiają. Ta lunula z nierdzewnej stali była prawdziwym dziełem sztuki. Dziełem tak pięknym, że nie śmiał wziąć go do ręki w obawie, iż dotykaniem zbecześci jego magiczną nieskazitelność. Na powierzchni migotliwego półksiężycy widział tęczę kolorów, widział światło rozszczerzone na najczystsze składniki, widział...

— Panie doktorze? Czy coś się stało?

Uniósł wzrok i zobaczył, że instrumentariuszka marszczy czoło, patrząc na niego znad maski chirurgicznej. Miała niezwykle zielone oczy, nigdy dotąd tego nie zauważył. Nie zauważył ani tego, ani wielu innych rzeczy, które widział, ale tak naprawdę zobaczył dopiero teraz. Ot, choćby jej kremową cerę. Żyłkę wijącą się na skroni. Pieprzyk tuż nad brwią...

Pieprzyk? Przerażony, wyteżył wzrok. Pieprzyk się poruszał, pełznął w stronę oka niczym wielonożny insekt...

Z odrętwienia wyrwał go głos doktora Rudmana,

anestezjologa.

— Stan? Dobrze się czujesz?

Mackie skinął głową. Insekt zniknął. Znowu był tylko pieprzykiem, małą plamką czarnego pigmentu na bladej skórze pielęgniarki. Mackie nabrał powietrza, wziął skalpel z tacy i spojrzął na kobietę leżącą na stole.

Światło lampy skupiało się na jej podbrzuszu, na prostokacie nagiej skóry obramowanej niebieskim prześcieradłem. Miała ładny, płaski, opalony brzuch — zaskakujący widok w porze bladych twarzy i śnieżnych zamieci. Jaka szkoda, że musi to dziewicze podbrzusze rozciąć. Blizna po usunięciu wyrostka robaczkowego na pewno zeszepeci przysze karaibskie opalenizny.

Przytknął czubek ostrza do skóry w punkcie McBurneya, w połowie linii między pępkiem a prawym kolcem biodrowym. Wyrostek robaczkowy znajdował się mniej więcej w tym miejscu. Mackie już miał zrobić nacięcie, gdy wtem...

Ręka. Drżała mu ręka.

Nie mógł tego zrozumieć. Zdarzyło mu się to pierwszy raz w życiu. Stanley Mackie sływał z pewnej ręki. A teraz z wielkim trudem utrzymywał skalpel w dłoni. Przełknął ślinę i odsunął ostrze od skóry. Spokojnie. Weź kilka głębokich oddechów. To przejdzie.

— Stan?

Doktor Rudman patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami. Pielęgniarki też. Mackie widział w ich oczach nieme pytanie, to samo pytanie, które zadawano szeptem od wielu tygodni. Czy stary Mackie nadaje się jeszcze do pracy? Ma siedemdziesiąt cztery lata, czy nadal może operować? Czy powinno się mu na to pozwalać? Zignorował ich spojrzenia. Przecież wybronił się przed komisją, wyjaśnił okoliczności śmierci swojego ostatniego pacjenta. W końcu każdy zabieg

chirurgiczny łączy się z pewnym ryzykiem. Jeśli w jamie brzusznej zbierze się za dużo krwi, łatwo stracić orientację i zrobić nacięcie w nieodpowiednim miejscu.

Członkowie komisji w swej mądrości oczyścili go z wszelkich zarzutów.

Mimo to od tamtego czasu w umysłach personelu szpitalnego kielkowało ziarenko wątpliwości. Widział to w wyrazie twarzy instrumentariuszek, w zmarszczeniu brwi doktora Rudmana. Patrzyli na niego, nie spuszczały go z oka. I nagle wyczuł, że patrzą na niego nie tylko ich oczy. Zerknął w bok i zobaczył, że w powietrzu unoszą się dziesiątki gałek ocznych, że wszystkie uważnie go obserwują.

Szybko zamrugał i straszliwa wizja zniknęła.

Okulary, pomyślał. Muszę pójść do okulisty.

Po policzku spływała mu kropla potu. Zacisnął palce na rękojeści skalpela. Przecież to tylko wycięcie wyrostka robaczkowego, zabieg prosty nawet dla najmłodszego stażysty. On, Stanley Mackie, poradzi sobie na pewno, choćby i z roztrzęsionymi rękami.

Skupił wzrok na łonie pacjentki, na jej płaskim, złotawym brzuchu. Jennifer Halsey, lat trzydzieści sześć. Przyjechała do Bostonu z innego stanu, a tego ranka obudziła się w motelu z bólem w prawej pachwinie. Ponieważ ból się nasilał, wsiadła do samochodu i, nie zważając na szalejącą śnieżycę, przyjechała do izby przyjęć szpitala Wicklin, gdzie zajął się nią dyżurujący pod telefonem Stanley Mackie. Nic nie wiedziała o plotkach na temat jego kondycji, o kłamstwach i pogłoskach z wolna niszczących jego karierę. Była po prostu cierpiącą kobietą, pacjentką z zapaleniem wyrostka robaczkowego.

Mackie przytknął skalpel do skóry. Ręka przestała drżeć. Da sobie radę. Oczywiście, że da radę. Zrobił nacięcie, gładkie i czyste. Instrumentariuszka wytarła gazikiem krew i podała mu

kleszczyki hemostatyczne. Mackie zaczął rozcinać warstwę żółtawego tłuszczu podskórnego, co chwila tamując krwawienie. Nie ma sprawy. Wszystko będzie dobrze. Dostanie się do jamy brzusznej, usunie wyrostek i już. A potem pojedzie do domu. Może potrzebuje odpoczynku, może krótki odpoczynek rozjaśni mu umysł.

Rozciął lśniąca otrzewną. Jama brzuszna była otwarta.

— Haki — rzucił.

Instrumentariuszka wzięła z tacy retraktory i delikatnie rozchyliła brzegi rany.

Mackie wsunął tam dłoń i poczuł, jak owijają się wokół niej śliskie, ciepłe jelita. Utkwić w kokonie ludzkiego ciepła — cóż to za cudowne uczucie. Jakby trafić z powrotem do matczyngo łona. Odślonił wyrostek. Jeden rzut oka na zaogniony, obrzękły organ potwierdził jego diagnozę: trzeba ciąć. Sięgnął po skalpel...

Ale gdy znowu przeniósł wzrok na otwartą ranę, stwierdził, że coś tu nie gra.

W jamie brzusznej kłębiło się za dużo jelit, było ich dwa razy tyle, ile być powinno. Po co jej tyle jelit? Coś z tym trzeba zrobić. Chwycił jeden ze zwojów i pociągnął, czując, jak ciepłe i wilgotne jelito ślizga mu się w dłoni. Wyciął skalpelem jego nadmiar i, ociekający krwią, położył na tacy. No — pomyślał — teraz wygląda to znacznie lepiej.

Instrumentariuszka wybałuszyła oczy.

— Co pan robi?! — krzyknęła.

— Ma za dużo jelit — wyjaśnił spokojnie. — Trzeba je skrócić.

Sięgnął do jamy brzusznej po następny zwój. Po co ten nadmiar tkanki? Tylko przeszkadza.

— Doktorze, nie!

Błysnął skalpel. Z przeciętego jelita trysnęła fontanna gorącej

krwi.

Instrumentariuszka chwyciła go za rękę. Mackie szarpnął się, rozwścieczony, że byle pielęgniarka śmie przeszkadzać mu w operacji.

— Dajcie mi inną instrumentariuszkę — zażądał. — I ssak. Trzeba odessać tę krew.

— Powstrzymajcie go! Pomóżcie mi go...

Wolną ręką Mackie chwycił cewnik ssaka i wepchnął go do jamy brzusznej. W rurce zablokował, do zbiornika popłynęła krew.

Ktoś szarpnął go za rękę, ktoś odciągnął go od stołu. To Rudman. Mackie próbował się wyrwać, lecz anestezjolog trzymał mocno.

— Odłóż skalpel, Stan.

— Trzeba to usunąć, ona ma za dużo jelit...

— Odłóż skalpel!

Mackie szarpnął się i gwałtownie obrócił, nie pamiętając, że wciąż ściska w rękę skalpel. Ostrze rozplątało Rudmanowi szyję.

Anestezjolog przeraźliwie krzyknął i chwycił się za gardło.

Mackie zrobił krok do tyłu, gapiąc się na krew ciekącą spomiędzy palców kolegi.

— To nie moja wina — wychrypiał. — To nie moja wina!

— Ochrona! — wrzasnęła pielęgniarka do interkomu. — Przyślijcie strażników! Natychmiast! On zwariował!

Mackie zatoczył się do tyłu, wdeptując w śliską kałużę krwi Rudmana. Krwi Jennifer Hasley. W rozlewające się jezioro krwi. Nagle odwrócił się i wypadł z sali.

Ścigali go.

Ogarnięty paniką, uciekał na oślep korytarzem — jednym, drugim. Uciekał zagmatwanym labiryntem korytarzy. Gdzie jest? Dlaczego nie rozpoznaje tych miejsc? I raptem dokładnie

przed sobą zobaczył okno, a za nim wirujące płatki śniegu. Śnieg. Zimna, biała koronka śniegu oczyści go, zmyje mu krew z rąk.

 Za plecami słyszał coraz głośniejszy tupot nóg.

 — Stój!

Trzy długie susy i Mackie skoczył w stronę świetlistego prostokąta.

Szkoło roztrzaskało się na miliony brylantów, usłyszał świst zimnego powietrza. Wszędzie było białe. Wszędzie widział piękną, krystaliczną biel.

 I spadał, spadał.

Rozdział drugi

Na zewnątrz panował koszmarny upał, ale kierowca podkręcił klimatyzację i Molly Picker, siedzącej na tylnym siedzeniu, zaczął dokuczać chłód. Zimne powietrze z dyszy w pobliżu jej kolan biło wprost pod minispódniczkę. Molly pochyliła się i zastukała w pleksiglasową przegrodę.

— Przepraszam pana — powiedziała. — Hej, proszę pana! Czy mógłby pan przykręcić klimatyzację? Proszę pana! — Zastukała jeszcze raz.

Kierowca jej nie słyszał. A może ją po prostu ignorował. Widziała tylko tył jego głowy.

Drżąc z zimna, skrzyżowała ręce na piersiach i skuliła się w kąciку, aby dalej od tej przekłetej dyszy. Patrzyła w okno, na przesuujące się za szybą ulice Bostonu. Nie знаła tych okolic, ale wiedziała, że jadą na południe. Tak przynajmniej głośiła ostatnia tablica, którą minęli: Washington Street, South. Pudełkowate budynki, zakratowane okna, grupki mężczyzn na werandach, ich lśniące od potu twarze... Dopiero koniec maja, a musiało być co najmniej trzydzieści stopni w cieniu. Molly potrafiła odgadnąć temperaturę z wyglądu przechodniów na ulicy. Z ich ociężałe pochyłonych ramion, z tego, że szli,

powłócząc nogami jak na zwolnionym filmie. Lubiła obserwować ludzi. Zwłaszcza kobiety, ponieważ kobiety interesowały ją o wiele bardziej niż mężczyźni. Uważnie analizowała ich stroje, zastanawiała się, dlaczego niektóre ubierają się w taki upał na czarno, dlaczego grube babska z wielkimi tyłkami paradują w obcisłych, jaskrawych spodniach, dlaczego już nikt nie nosi kapeluszy. Przyglądała się, jak chodzą te piękne i zgrabne, jak subtelnie kręcą biodrami, jak umiejętnie stawiają nogi, doskonale zachowując równowagę w pantoflach na superwysokich obcasach. Zastanawiała się też, czy znają jakieś sekrety, których ona nie знаła. Czy matki udzieliły im jakichś nauk, wskazówek, które Molly przegapiła. Przyglądała się ich twarzom długo i wnikliwie, z nadzieją, że dozna olśnienia i odkryje tajemnicę ich urody. Tajemnicę magicznego czarownika, którego Molly Picker nie miała.

Samochód przystanął na czerwonym świetle. Na rogu stała kobieta w sandałach na platformach, z ręką na kusocielsko wysuniętym biodrze. Była prostytutką, jak Molly, ale starszą od niej. Miała mniej więcej osiemnaście lat i lśniące, czarne włosy, spływające kaskadą na brązowe ramiona. W czarnych włosach byłoby mi dobrze — pomyślała ze smutkiem Molly. Czarne włosy to konkret. Nie to co włosy Molly — nijakie, rzadkie i słabe, ni to jasne, ni ciemne, pozbawione wszelkiego wyrazu. Szyby auta były mocno przyciemnione i prostytutka nie widziała, że Molly się na nią gapi, ale musiała to wyczuć, gdyż powoli obróciła się w jej stronę.

Nie, wcale nie była taka piękna.

Dziwnie rozczarowana Molly opadła na oparcie fotela.

Samochód skręcił w lewo, kierując się na południowy wschód. Dzielnice, które dobrze знаła, zostały daleko w tyle, jechali teraz przez okolice zupełnie obce i wrogie. Upał wypędził ludzi z domów. Siedzieli w skrawkach cienia,

wachlując się gazetami i prowadząc wzrokiem przejeżdżającą limuzynę. Wiedzieli, że wóz nie jest stąd, że tu nie pasuje. Tak samo jak Molly wiedziała, że to nie jej teren. Dokąd ten Romy ją wysłał?

Nie podał żadnego adresu. Zwykle wciskał jej w rękę świstek papieru z nagryzmołą nazwą ulicy i kazał łapać taksówkę. Tym razem przy krawężniku czekał samochód. Ładny samochód, czysty, bez tych wiele mówiących plam na tylnym siedzeniu, bez popielniczek zapchanych lepkiemi chusteczkami higienicznymi. Nie, nie, wóz był nieskalany, jeszcze nigdy nie jechała taką limuzyną.

Kierowca skręcił w lewo, w wąską ulicę. Na chodnikach nie było tu nikogo, lecz Molly wiedziała, że ich obserwują. Po prostu to czuła. Poszperała w torebce, wyjęła papierosa i zapaliła. Zdążyła ledwie sztachnąć się dwa razy, gdy usłyszała bezosobowy głos:

— Proszę zgasić papierosa.

Przestraszona, rozejrzała się na boki.

— Co?

— Powiedziałem, zgaś papierosa. Tu się nie pali.

Z rumieńcem wstydu szybko rozgniotła papierosa w popielniczkę i dopiero wtedy zauważyła małe głośnik wmontowany w pleksiglasową przegrodę.

— Hej! Słyszysz mnie pan?

Kierowca milczał.

— Jeśli mnie pan słyszysz, to czy mógłby pan przykręcić klimatyzację? Zamarznę tu na śmierć. Halo! Panie kierowco!

Przestało dmuchać zimnym powietrzem.

— Dziękuję — powiedziała Molly, a pod nosem mruknęła: — dupku.

Odszukała odpowiedni przycisk i opuściła szybę. Przez wąską szparę wpadł do środka zapach dyszącego upałem

miasta, duszny i siarczany. Duchota jej nie przeszkadzała, od dawna była z nią za pan brat. Przypominała jej dzieciństwo, lepkie, wilgotne upały w rodzinnym Beaufort. Szlag by to trafił, tak chciało jej się palić! Nie miała jednak ochoty na sprzeczkę z głośnikiem.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się.

— To tutaj — powiedział kierowca. — Wysiadaj.

— Tutaj? To znaczy gdzie?

— W budynku, na który patrzysz.

Molly przyjrzała się trzypiętrowej kamienicy. Okna na parterze były zabite deskami. Na chodniku lśniły kawałki szkła.

— Wolne żarty.

— Drzwi są otwarte. Wejdiesz na drugie piętro, ostatnie drzwi po prawej. Nie musisz pukać, po prostu wejdź do środka.

— Romy nic mi o tym nie mówił.

— Romy powiedział, że się zgodzisz.

— No tak, ale...

— To część fantazji, Molly.

— Jakiej fantazji?

— Fantazji twojego klienta. Wiesz, jacy oni są.

Molly ciężko westchnęła i znów spojrzała na kamienicę. Klienci i ich fantazje! Ten marzył pewnie, by zerznąć babkę wśród szcurów i karaluchów. Trochę niebezpieczeństwa i brudu — to ich podniecało. Dlaczego fantazje seksualne klientów nigdy nie zgadzały się z jej fantazjami? Czysty hotelowy pokój, basen z bąbelkami. Richard Gere i Pretty Woman sączący szampana.

— On czeka, Molly.

— Idę, idę. — Pchnęła drzwi i wysiadła. — Ma pan na mnie czekać, tak?

— Nigdzie się stąd nie ruszę.

Spojrzała na kamienicę, wzięła głęboki oddech, weszła po

schodach i otworzyła drzwi.

Wewnątrz było tak samo paskudnie jak i na ulicy. Ściany pokryte nieudolnymi graffiti, korytarz zaśmiecony gazetami i zardzewiałymi sprężynami wyrwanymi z łóżek. Musiała tu grasować banda wandalii.

Weszła na schody. W budynku panowała niesamowita cisza i każdy jej krok rozbrzmiewał głośnym echem. Kiedy dotarła na pierwsze piętro, stwierdziła, że ma spocone dłonie.

Coś było tu nie tak. Czuła, że coś jest nie tak.

Przystanąła na podeście i spojrzała do góry. W coś ty mnie wrobił, Romy? I kogoś mi nagrał?

Wytarła dłonie w bluzkę. Nabrała powietrza i ruszyła dalej. W korytarzu na drugim piętrze zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Dobiegł ją cichy pomruk jakiegoś urządzenia. Klimatyzator? Nacisnęła klamkę.

Uderzyła w nią fala chłodnego powietrza. Weszła do środka i zdumiała się na widok pokoju o idealnie białych ścianach. Jeśli nie liczyć wyłożonego ciemnobrązowym winylem stołu do badań lekarskich i wielkiej, wiszącej nad nim lampy, w pomieszczeniu nie było żadnych mebli, nawet krzesła.

— Witaj, Molly.

Odwróciła się na pięcie, szukając wzrokiem mężczyzny, który wypowiedział jej imię. Ale w pokoju nie było nikogo.

— Gdzie pan jest? — spytała.

— Nie bój się. Jestem trochę wstydlivy, to wszystko. Najpierw chciałbym ci się przyjrzeć.

Na przeciwległej ścianie zobaczyła lustro.

— Jest pan za tym lustrem, prawda? Pan mnie widzi, a ja pana nie, tak?

— Zgadłaś.

— No to co mam teraz zrobić?

— Porozmawiaj ze mną.

— To wszystko?

— Nie, nie wszystko.

No jasne. Zawsze chcą czegoś więcej. W miarę spokojnie podeszła do lustra. Powiedział, że jest wstydlivy. Świetnie, od razu poczuła się lepiej. Opanowała się, ochłoneła. Stała przed lustrem, wspierając rękę na biodrze.

— Dobra. Jeśli chce pan gadać, pogadajmy, to pańska forsa.

— Ile masz lat, Molly?

— Szesnaście.

— Czy masz regularny okres?

— Co?

— Czy masz regularnie miesięczkę?

Parsknęła śmiechem.

— Nie do wiary.

— Odpowiedz na pytanie.

— Tak. Chyba regularnie.

— Ostatnią miałas dwa tygodnie temu, prawda?

— Skąd pan wie? — Pokręciła głową i mruknęła: — No tak, Romy panu powiedział.

Romy zawsze wiedział, kiedy jego dziewczyny mają ciotkę.

— Jesteś zdrowa, Molly?

Spojrzała w lustro.

— A co? Wyglądam na chorą?

— Nie masz żółtaczki? Albo HIV?

— Jestem czysta. Niech pan się nie martwi, niczego pan ode mnie nie złapie.

— A może chorujesz na syfilis albo na rzeżączkę?

— Posłuchaj pan — warknęła. — Chce się pan ze mną pieprzyć czy nie?

Milczał chwilę. A potem cicho powiedział:

— Rozbierz się, Molly.

Nareszcie zaczął gadać do rzeczy. Tego się przynajmniej

spodziewała.

Podeszła jeszcze bliżej lustra, podeszła tak blisko, że zaparowała je oddechem. Pewnie zechce obejrzeć najdrobniejsze szczegóły. Zawsze tego chcieli. Zaczęła rozpinąć bluzkę. Robiła to powoli, jak na scenie. Kiedy ją rozsunała, odpędziła od siebie wszelkie myśli, kryjąc się w bezpiecznych zakamarkach umysłu, gdzie mężczyźni nie istnieli. Kręciła biodrami w rytm wyimaginowanej muzyki. Bluzka zsunęła się z ramion na podłogę, odsłaniając nagie piersi. Molly poczuła, jak w chłodnym powietrzu twardnieją jej sutki. Zamknęła oczy. Wiedziała, że tak będzie lepiej. Szybciej, pomyślała. Przeleć faceta i zmiataj stąd.

Zdjęła spódnicę i ściągnęła majteczki. Ani na chwilę nie otworzyła oczu. Miała niezłe ciało, przynajmniej tak mówił Romy. Mówił, że jeśli odpowiednio je wykorzysta, nikt nie zwróci uwagi na jej nijaką twarz. I właśnie teraz je wykorzystywała, kołysząc się w rytm muzyki, której nikt inny nie słyszał.

— Wystarczy — powiedział mężczyzna. — Możesz przestać tańczyć.

Otworzyła oczy, oszołomiona spojrzała w lustro i zobaczyła swoje odbicie. Strąkowate brązowe włosy. Piersi małe, ale sterczące. Biodra wąskie, chłopiące. Kiedy tańczyła z zamkniętymi oczyma, była aktorką, grała rolę. Teraz widziała swoje prawdziwe odbicie. Swoje prawdziwe „ja”. Nie mogła się powstrzymać i zasłoniła rękami piersi.

— Podejź do stołu.

— Co?

— Połóż się na stole.

— Dobra. Skoro to pana bierze...

— Tak, to mnie bierze.

Są gusta i guściki. Weszła na stół pokryty zimnym winylem.

Położyła się i czekała, aż coś się zacznie dziać.

Otworzyły się drzwi, usłyszała czyjeś kroki. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, gdy stanął przy stole, omal nie krzyknęła z przestachu. Facet był ubrany na zielono. Widziała tylko jego oczy, zimne, stalowobłękitne oczy. Patrzyły na nią znad maski chirurgicznej.

Zatrwożona, błyskawicznie usiadła.

— Połóż się — rozkazał.

— Co pan, do diabła, chce zrobić?

— Powiedziałem, połóż się.

— Człowieku, ja stąd spadam...

Chwycił ją za ramię. Dopiero wtedy zauważyła, że jest w rękawiczkach.

— Posłuchaj, nie zrobię ci nic złego. — Powiedział to łagodniej. Uprzejmiej. — Nie rozumiesz? To jest właśnie moja fantazja.

— Zabawa... w lekarza?

— Tak.

— A ja mam być pacjentką?

— Tak. Czy to cię przeraża?

Myślała chwilę, wspominając fantazje niektórych klientów. W porównaniu z nimi ta była dość niewinna.

— No dobra. — Położyła się z westchnieniem. Wysunął spod stołu dwa strzemiona.

— Chyba wiesz, co zrobić z nogami.

— Muszę?

— Jestem lekarzem, zapomniałaś?

Patrzyła na jego twarz, zastanawiając się, co ukrywa pod prostokątną maską. Pewnie nic. Pewnie ma gębę zwyczajnego faceta. Oni wszyscy są tacy zwyczajni, tacy przeciętni. To ich fantazje ją odrzucały. I przerażały.

Niechętnie podniosła nogi i umieściła stopy w strzemionach.

Mężczyzna zwolnił jakąś dźwignię i dolna część stołu opadła na zawiasach. Molly leżała teraz z szeroko rozrzuconymi nogami, z pośladkami na samym brzegu stołu. Pokazywała się nago mężczyźnie nie pierwszy raz, ale w tej pozycji było coś straszliwie bezbronnego. To jaskrawe światło skupione między jej nogami. Całkowita jej nagość na zimnym stole. I ten zboczeniec, którego wzrok koncentrował się z kliniczną obojętnością na najintymniejszych szczegółach jej anatomii.

Owinał jej kostkę szerokim pasem z rzepami.

— Chwila — rzuciła. — Nie lubię, jak mnie wiążą.

— Ale ja lubię — mruknął, zapinając drugi pas. — Lubię wiązać moje dziewczyny.

Drgnęła, kiedy wsunął w nią palce. Nachylił się, skupiony zmrużył oczy, macał coraz głębiej i głębiej. Zacisnęła powieki, próbowała nie myśleć, co dzieje się między jej nogami, lecz wrażenie było tak intensywne, że nie potrafiła go zignorować. Jakby wgryzał się w nią szczur. Mężczyzna jedną ręką przyciskał jej podbrzusze, palcami drugiej gmerał w pochwie. Nie wiedzieć czemu, akt ten wydał się jej czymś brutalniejszym niż zwykły sztos z klientem, dlatego jak najszybciej chciała mieć to za sobą. Bierze cię to, palancie? Już ci stanął? No to kiedy wreszcie zaczniesz?

Zabrał rękę. Molly aż zadrżała z ulgi. Otworzyła oczy i stwierdziła, że mężczyzna wcale na nią nie patrzy. Patrzył na coś, czego ona nie mogła widzieć. Kiwnął głową.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

Na jej usta i nos opadła gumowa maska. Molly próbowała się wyszarpnąć, lecz ktoś przycisnął jej głowę do stołu. Oszalała z przerażenia, chwyciła za brzeg maski, ale natychmiast odciągnięto jej ręce i unieruchomiono pasami. Wciągnęła haust drażniącego gazu, poczuła, że pali ją w

gardle. Płuca zaprotestowały spazmatycznym kaszlem. Szarpnęła się jeszcze raz, ze wszystkich sił, lecz maska pozostała na miejscu. Zabrakło jej tchu, musiała, po prostu musiała odetchnąć...

Powoli traciła czucie w rękach i nogach. Światło jakby przygasło. Biel ustąpiła miejsca szarości.

Potem czerni.

Słyszała, jak ktoś powiedział:

— Dobra, pobierz jej krew.

Lecz słowa te nic dla niej nie znaczyły. Nie znaczyły absolutnie nic.

□ □ □

— O rany, o rany! Aleś tu naświniła...

To był jego głos, domyśliła się tylko tego. Reszta nie miała żadnego sensu. Ani to, gdzie jest teraz, ani to, gdzie była przedtem.

Tylko dlaczego tak bardzo bolała ją głowa, dlaczego tak bardzo zaschło jej w gardle?

— No, Molly Dolly, otwórz oczy.

Jęknęła. Cichy jęk zawibrował jej w głowie niczym odgłos spiżowego dzwonu.

— Otwórz, kurwa, te ślipia, Molly. Zasmrodzisz cały pokój.

Przetoczyła się na plecy. Przez powieki sączyło się czerwonawe światło. Z trudem je rozwarła, skupiła wzrok.

Romy patrzył na nią z wyrazem obrzydzenia w ciemnych oczach. Jego czarne, gładko zaczesane włosy lśniły od brylantyny, odbijając światło niczym hełm z brązu. I Sophie. Ona też tu była. Skrzyżowała ręce na baloniastych piersiach, jej końską twarz wykrzywił szyderczy grymas. Molly zobaczyła, że stoją blisko siebie, ramię w ramię, i poczuła się jeszcze gorzej. Wyglądali jak para starych kochanków. A może

byli kochankami? Sophie ciągle się przy nim kręciła, ciągle próbowała ją wygryźć. A teraz weszła do jej pokoju, naruszyła teren, którego naruszać nie miała prawa.

Rozwścieczona Molly próbowała usiąść, ale zrobiło się jej ciemno przed oczami i bezwładnie opadła na łóżko.

— Chce mi się rzygać — wychrypiała.

— Rzygałaś cały czas — mruknął Romy. — Idź się umyć, Sophie ci pomoże.

— Nie chcę, żeby mnie dotykała. Wyrzuć ją stąd.

— I tak bym wyszła z tej zafajdanej nory — prychnęła Sophie i wymaszerowała z pokoju.

Molly jęknęła.

— Chryste, nie pamiętam, co się stało.

— Nic się nie stało. Wróciłaś, poszłaś lulu i zarzygałaś całą poduszkę.

Z trudem usiadła. Nie pomógł jej, nawet jej nie dotknął. Aż tak bardzo cuchnęła? Już szedł do drzwi, już zostawiał ją samą, by mogła zmienić brudne prześcieradło i poszewkę.

— Romy.

— No?

— Jak tu wróciłam?

Parsknął śmiechem.

— Jezu, ostro się nawaliłaś, co? — I zamknął za sobą drzwi. Długo siedziała na brzegu łóżka, próbując sobie przypomnieć wydarzenia ostatnich kilku godzin. Cały czas próbowała stłumić lżejsze już mdłości.

Miała klienta, pamiętała tylko tyle. Faceta ubranego na zielono. W pokoju z wielkim lustrem. I był tam jeszcze stół.

Ale nie pamiętała, żeby gość ją przeleciał. Może wymazała to z pamięci. Może doświadczyła czegoś tak obrzydliwego, że upchnęła to w podświadomości. Podobnie zrobiła z większością wydarzeń z dzieciństwa. Fragmenty wspomnień z okresu

dorastania wracały do niej tylko od czasu do czasu i jedynie wówczas, gdy tego chciała. Wspominała tylko dobre chwile. Tak, miała kilka dobrych wspomnień z Beaufort i mogła je w każdym momencie przywołać. I w każdym momencie odpędzić.

Ale wydarzeń tego popołudnia nie pamiętała wcale.

Boże, jak ona cuchnęła. Spojrzała na swoją bluzkę. Była zabrudzona wymiocinami, krzywo zapięta, tu i tam wyglądała spod niej naga skóra.

Zaczęła się rozbierać. Zdjęła spódniczkę i bluzkę i cisnęła na podłogę. Z trudem weszła pod prysznic i odkręciła wodę.

Zimną wodę. Chciała, żeby woda była jak najzimniejsza.

Stojąc pod parskającym sitkiem, czuła, że zaczyna jaśniej myśleć. I wtedy przypomniała sobie coś jeszcze. Przypomniała sobie, jak pochylał się nad nią ubrany na zielono mężczyzna. Jak na nią patrzył. Przypomniała sobie pasy, którymi przywiązał jej do stołu ręce i nogi.

Spojrzała na nadgarstki, wokół których, niczym mankiety, widniały siniaki. Skrępował ją, nie takie to znów niezwykle. Faceci i ich zwariowane zabawy.

Jej wzrok spoczął na innym siniaku, na siniaku w zgięciu łokcia lewej ręki. Był tak słabo widoczny, że ledwie go zauważyła. Dokładnie pośrodku niebieskawej plamki — niczym dziesiątka na tarczy — widniał pojedynczy znak po nakłuciu igłą.

Próbowała sobie przypomnieć, skąd go ma, ale na próżno. Pamiętała tylko ubranego na zielono mężczyznę w chirurgicznej masce.

I stół.

Z jej ramion spływała zimna woda. Molly zadrżała i, spoglądając na nikłą plamkę w zgięciu łokcia, zastanawiała się, czego jeszcze może nie pamiętać.